



SZEREDY NA PŁYWALNI W 1957 ROKU

Staliśmy właśnie na tarasie pływalni Lukács, oparci o kamienną balustradę, i patrzyliśmy na tłum opalających się cywilów, kiedy Dani Szeredy bąknął coś pod nosem. Zawsze mówił bardzo cicho, ale mimo to dobrze go rozumiałem. Wybąkał to, co usłyszałem z jego ust już przed chwilą, wchodząc tutaj na górę po schodkach. Odpowiedziałem mu wówczas, ciężko przy tym sapiąc. Było to coś w rodzaju: „Hm? Mhm...”. Jeszcze pół godziny przedtem, na dole, na brzegu basenu, Dani stwierdził, że jest wściekły upał.

– Oblędny – zgodziłem się z nim. A może powiedziałem: „To i dobrze”. Sam już nie wiem dokładnie, jak to było. Wówczas nawet przez myśl mi nie przeszło, że on będzie miał dziś tyle do powiedzenia, chociaż można się było tego spodziewać, nie widzieliśmy się przecież od bardzo dawna. Wszystko jedno: faktem jest, że reagowałem normalnie na wszystkie jego pytania.

Rzeczywiście, ten lipcowy dzień 1957 roku był niezwykle upalny. Gapiiliśmy się na ładne nagie brzuchy, najchętniej na brzuchy dziewcząt. Niezliczona chmara rodaków prażyła się w słońcu, okupując wszystkie trzy tarasy pływalni; leżaki i ławki były zajęte do ostatniego miejsca. Nie czułem nawet obrzydzenia do tego tłumu. Staruchy w kąpielówkach oraz młodzi ludzie nie denerwowali się, wręcz przeciwnie, bardzo grzecznie czekali na swoją kolejkę pod prysznicem. Wszyscy byliśmy pełni wzajemnej życzliwości. Ba, nawet miłości, które to uczucie maskowaliśmy





wyszukaną uprzejmością. Dlatego też zdziwiłem się, kiedy Szeredy stał się nagle opryskliwy.

Najpierw zduził papierosa, potem odwrócił się w moją stronę i rzekł:

– Mówią, że zszedłem się z Magdą.

– Mhm... – odparłem. Powtórzył to już po raz trzeci, więc nawet na niego nie spojrzałem.

Szeredy natomiast po chwilowym wahaniu zaczął od nowa.

– Bebe – odezwał się do mnie pieszczotliwie.

– No?

– Nie słuchasz mnie? – zapytał łagodnie.

To spokojnie wypowiedziane: „Nie słuchasz mnie?” oznaczało, że powinienem, do cholery, nastawić wreszcie uszu i słuchać uważnie, skoro on, Szeredy, strzępi sobie język, nie wspominając przez grzeczność nic na temat profesji mojej mamusi. Słowem, była to z mojej strony duża impertynencja.

– Mhm... Wiem. Z Magdą.

– Wiesz?

– Słyszałem.

Widziałem, jak z wyteżoną uwagą obserwuje moją twarz, wsłuchuje się w brzmienie mego głosu, chociaż nawet na niego nie spojrzałem. Miał doskonały słuch.

– Co tam widzisz? – Poszedł za moim wzrokiem.

– Zwolniła się jedna leżanka – powiedziałem.

Ale nim zdążyliśmy ruszyć w stronę drewnianej pryczy, zajęli ją o wiele od nas sprytniejsi młodzi ludzie. Trzeba było najpierw wykonać chytry manewr „zmniejszenia odległości”, a potem szybko wystartować. Rzecz polegała na tym, że co chwila ktoś podnosił się z leżaków i leżanek, ale tylko po to, aby wziąć prysznic lub wykąpać się w basenie, i oczywiście pozostawiał





swoje rzeczy, gazetę lub torbę plażową. Cała umiejętność polegała na tym, aby wysledzić, kto naprawdę pakuje już manatki, i wtedy... No, wszystko jedno, przepadło. Wydawało się, że przypisują winę za naszą porażkę Szeredyemu.

– Gie! – powiedziałem ze złością. – Pieprzę!

Szeredy roześmiał się.

Odzwyczailiśmy się od przeklinania jeszcze w wieku trzynastu lat, być może dlatego, że początkowo uznaliśmy za doskonały dowcip samo to, iż w przeciwieństwie do innych my będziemy się wyrażać w sposób niezwykle wytworny; być może jednak postanowiliśmy uczynić to z prostej przekory, z zarozumiałstwa, a może skłoniła nas też do tego jakaś artystyczna potrzeba zrównoważenia atmosfery lub też nieudolne silenie się na oryginalność – nie wiem. Nie podjęliśmy zresztą świadomej decyzji w tej sprawie, po prostu mieliśmy ochotę właśnie tylko tak się wyrażać i bez względu na to, czy był to przejaw buntu, czy też instynktowna samoobrona, nigdy nie poddawaliśmy tego problemu pod dyskusję. Ale cóż, w ostatnich latach przyzwyczałem się znów do wulgarności, przebywając między malarzami, a poza tym młodzi też demonstrowali wokoło wulgarności; słowem, zacząłem na nowo kłąć, pragnąc dostosować się do otoczenia, czym zresztą budziłem zrozumiałe zdziwienie. Patrzono na mnie, jakby się nagle okazało, że mówię bezbłędnie obcym językiem, o czym nikt dotąd nie wiedział, nie tak jednak jak językiem ojczystym. Mylili się. To był dla mnie jak najbardziej język ojczysty, którym, mając na karku czterdzieści pięć lat, zacząłem się znów posługiwać. Dani Szeredy zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę i śmiał się teraz, więc tylko warknąłem gardłowym, stłumionym głosem: „Pieprzę!” lub coś w tym rodzaju, i on dobrze wiedział, co chciałem przez to wyrazić.





Wiedział dokładnie, choć trudno całą rzecz wytłumaczyć. Mogło to na przykład znaczyć: „No i widzisz, byku kraso, po cholere tak mieiesz ozorem, kiedy ja tu od dawna wyteżam szare komórki i filuję na to, co się dzieje, a ty w krytycznym momencie zaczynasz chlapać jakieś wzruszające historie i demonstrować delikatność uczuć, które w gruncie rzeczy gówno kogo obchodzą, i przez to spadamy z tego zwolnionego przed chwilą leżadła...”. Ale i to oczywiście byłoby tylko czymś pozornym. Byłoby tylko zasłoną słowną, za którą ukryłoby się to, co naprawdę chciałem mu zakomunikować, czyli: „Krzyżyk na drogę. Nie będę się przecież nad tobą rozczulał. Odcierpieliście już i tak wystarczająco za przeszłe i przyszłe grzechy”. Albo jeszcze inaczej: „Słuchaj, stary, ścisnęło mnie trochę w gardle, nie gniewaj się. Przedziwne są losy ludzkie. Obyście byli szczęśliwi! Dałbym sobie za to rękę odciąć...”. Końcowy spadek intonacji miałby oznaczać: „Gdzie tam dałbym sobie odciąć rękę, może tylko nogę, bo nie jest mi za bardzo potrzebna. Ale i to też w ostateczności. A zresztą, co tam... Nie okłamujmy się. Róbcie sobie, co chcecie! Mam was w nosie. Pieprzę!”

To prawda, że z Szeredym nigdy się nie okłamywaliśmy, i właściwie od tego stwierdzenia powinienem był zacząć. A raczej – nie musieliśmy się okłamywać, nie znaleźliśmy się bowiem nigdy w takiej sytuacji. Ale gdyby nawet takowa zaistniała, to nie mielibyśmy na kłamstwo najmniejszej ochoty, ponieważ dawno już znienawidziliśmy je całkowicie. Tę historię jest mi jeszcze trudniej wytłumaczyć. Nienawidziliśmy kłamstwa i fałszu nie tyle z pobudek moralnych, ile fizycznych – nasz system nerwowy wzdrażał się przed nimi i brzydził nie do opisanego. Skoro to ma brzmieć ładnie, to mogę powiedzieć, że mimo wszystko moralny azyl był dla nas ostateczną kryjówką, do której chroniliśmy





się na skutek otrzymanego wychowania... Nie, próżny to jednak trud. Kto chciałby wszystko zrozumieć, musiałby przeżyć razem z nami całą szkołę kadetów, poczynając od dziesiątego roku życia. A byłoby to przedsięwzięcie o wiele bardziej skomplikowane niż poprzednia próba wytłumaczenia niuansów językowych.

– No? – Szeredy spojrzał na mnie, unosząc nieco podbródek i śmiejąc się cicho. – Pójdziemy na piwo? Zgoda?

To „no?” oznaczało, że on w dalszym ciągu z uporem oczekuje mojej odpowiedzi na postawione pytanie i opinii, albowiem owo twarde warknięcie „pieprzę!” – chociaż wywnioskował z niego z grubsza wszystko to, co ja tu usiłowałem przed chwilą wyjaśnić – jest jednak unikiem, kłamstwem i nie uda mi się wykręcić od odpowiedzi, co robię już od półtorej godziny, gdyż jemu potrzebna jest moja rada i, trudno i darmo, muszę się jasno zadeklarować.

– Mhm – powiedziałem.

Ruszyliśmy zatem w stronę bufetu, innymi, szerszymi i wygodniejszymi schodami. Przed oczyma miałem włochate plecy Szeredygo.

AGENTKI OBCEGO WYWIADU W NAGYVÁRAD* W 1944 ROKU

Magdę, z którą teraz Szeredy zamieszkał, ujrzałem po raz pierwszy latem 1944 roku w Nagyvárád. Przyjechałem do tego miasta o piątej po południu i byłem nieco zdenerwowany. Cóż, u licha, mogło się tu wydarzyć? Szeredy naprzód telefonował do Gábora Medvego, ale że ten nie mógł przyjechać, zwrócił się do mnie:

* Nagyvárád – obecnie Oratlea w Rumunii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).





– Przyjedź wreszcie choć raz do mnie, Bebe – mówił mój przyjaciel Szeredy, bo tak mnie zdrobniale nazywano, choć był ze mnie chłop na schwał i nazywałem się uczciwie Benedek Both. – Mam butelkę pysznego medoc cordial. Przyjedź dzisiaj.

– Dziś?

– Jeszcze dziś. Tak będzie najrozsądniej.

– Dobrze – powiedziałem.

Natychmiast się zorientowałem, wyczułem nawet przez telefon po jego głosie, że chodzi o coś ważnego. Widocznie wpadł w jakieś tarapaty, i to poważne. Nie widziałem go od lat. Ja wyszedłem definitywnie z wojska w 1930, a Gábor Medve w 1936. Jego zaś przenieśli do rezerwy ze stałą gotowością do służby albo też zachowali z nim niesłużbowy związek, diabeł zresztą wie co, w każdym razie, kiedy po wkroczeniu Niemców ukazało się kolejne powołanie do wojska, podlegał mu w pełni jako porucznik artylerii i powinien był wrócić do armii. On jednak nic sobie z tego nie robił, rzucił radio, gdzie miał etat, i kręcił się po Budapeszcie bez dokumentów, opowiadając, że w razie złapania grozi mu kula w łeb w ciągu dwudziestu czterech godzin, co chyba było bliskie prawdy. Nie licząc architekta Feriego Bónisa i głupiego Béli Zámencsika, z całego naszego roku w tym czasie tylko my dwaj, to znaczy Medve i ja, byliśmy legalnie cywilami.

Miałem tak nieprawdopodobne szczęście, że od grudnia służyłem jako oficer obrony przeciwlotniczej w komendzie drugiej dzielnicy. Co drugi dzień miałem wolny i z tego też względu mogłem wybrać się do Nagyváradu. Moje dokumenty wytrzymały każdą kontrolę.

Dani Szeredy mieszkał przy ładnej brukowanej ulicy o wiejskim wyglądzie; zajmował dwa pokoje. Odnalazłem numer domu. Wbudowane w łuk bramy małe drzwi nie były zamknię-





te. Obszedłem zresztą wkoło podwórko, nim skierowano mnie we właściwą stronę. Popołudniowe słońce przez czerwone, niebieskie i żółte kwadraty okna oświetlało korytarz. Mała pokojówka w chustce na głowie bez słowa zaprowadziła mnie do gabinetu Daniego.

– Czy pan kapitan jest w domu? – zapytałem półgłosem.

Służąca, która nagle zatrzymała się na środku pokoju, drgnęła, odwróciła się, spojrzała na mnie swoimi ogromnymi niczym u sarny oczyma, podniosła palec do ust i powiedziała:

– Pst...

– Śpi? – zapytałem niemal szeptem.

– Gra na skrzypcach. – Dziewczyna nachyliła się w moją stronę, odpowiadając również szeptem.

Rzeczywiście, z sąsiedniego pokoju dobiegał czysty, delikatny ton skrzypiec. Zdziwiłem się: jak mogłem tego nie słyszeć. Spojrzałem na małą służącą, czy aby nie uważa mnie za głuchego lub poszkodowanego w jakiś inny sposób, albowiem w jej głosie wyczułem pewne zakłopotanie. Ale ona już nie interesowała się mną, wsłuchiwała się w melodię skrzypiec. Staliśmy tak razem przez pewien czas i przysłuchiwaliśmy się muzyce. Szeredy grał Bacha, Jana Sebastiana Bacha, podkreślam to specjalnie, bo – jak dowiedziałem się w tych dniach – istnieje jeszcze Jan Chrystian Bach.

W pobliżu placu Bémera na pierwszym piętrze znajdował się bar, ot, taka wojenna tancbuda. Przybyliśmy tam już po zaciemnieniu. Szeredyego dobrze tu znano i bułgarska szansonistka po odśpiewaniu *Lili Marlen* szybko dosiadła się do naszego stolika. Dość młoda, o wyraźnie zarysowanych kształtach, czarny demon z kudłatym jak u owcy łbem. Rzuciła w stronę Szeredyego tak omdlewające spojrzenia, jakby nie chciała zostawić mi nawet





cienia wątpliwości co do ich wzajemnych stosunków. Rozmawiali niemiecko-angielsko-francuskim wolapikiem kabaretowym. Dani nie cackał się zbytnio. Ledwo stuknęliśmy się kieliszkami, a on już do niej:

– *I say, look here, didn't you by any chance pick up some papers off my desk... o... hier soir? Von meinem Schreibtisch, darling, did you? Or didn't you?**

Mówił, jak zwykle, łagodnym głosem, niby od niechcienia, z uśmiechem, ale bardzo uważnie jej się przypatrywał. Wiedziałem, o co chodzi. Chciał wyciągnąć od szansonistki, czy wczoraj wieczorem nie zabrała przypadkiem jakichś papierów z jego biurka. Była to dość prymitywna metoda na zdemaskowanie agentki obcego wywiadu – pytać wprost. Rzeliśmy też w duchu z tego wszystkiego, z siebie samych i z całego świata, oczywiście, za osłoną zewnętrznej powagi – ale wiedzieliśmy, że za tą powagą czai się w nas obu śmiech, jeden wielki śmiech, jedno wspólne, bezgłośne, bez cienia uśmiechu na twarzy potajemne śmianie, które narodziło się w nas podczas jednego z nocnych alarmów, kiedy szeptem powtórzyłem Szeredyemu pointę kawału ze szkoły podstawowej: „Relikwie?”

Słowem pod maską powagi, obrzydzenia i strachu Szeredy – w gruncie rzeczy – zgrywał się, udawał głupiego przed samym sobą, przede mną, przed całym światem, a nawet przed Bogiem, który ewentualnie akurat by nam się przyglądał. Bo właściwie Szeredy ani przez chwilę nie podejrzewał bułgarskiej divy. Tylko dla porządku przeprowadził z nią małą próbkę. Oczywiście, niezależnie od wszystkiego, czujnie przyglądaliśmy się dzielnej dziewczynie

* Słuchaj, czy przypadkiem nie wzięłaś jakichś papierów z mojego biurka... o... wczoraj wieczorem? Z mojego biurka, kochanie? Wzięłaś czy nie? (ang., niem.)





nie, nie odzywaliśmy się, pozwoliliśmy jej dziwić się i oburzać, dopóki sama nie przestała mówić na ten temat. Szeredy podejrzewał bowiem o kradzież – i nie bez podstaw – zupełnie kogo innego.

Swoją kochankę imieniem Teodora. Była piękna, młoda, bogata i elegancka, ale wszystko to jej nie wystarczało i wzniecała wokół siebie wieczny niepokój. Jej mąż jeździł jak opętany do Budapesztu i z powrotem małym sportowym samochodem, załatwiał mętne interesy i był ogólnie uważany za niezłego cwaniaka, jak to się wówczas mówiło. Był szczupłym blondynem, z wykształcenia prawnikiem, specjalizującym się w prawie starożytnym, jakimś świeżo mianowanym dyrektorem. Żyli na wysokiej stopie. Wielu ludzi uważało Szeredyego za głuptasa, ze względu na jego sposób bycia i poczciwy wygląd. Mąż Teodory również odnosił się do niego z dobroduszną wyniosłością. Gdyby jednak tego wieczoru był przypadkiem w Nagyvárdzie, zdziwiłby się zapewne, i to mocno, widząc, jak trafnie przejrzał Szeredy jego piękną żonę. Podekscytowana Teo po krótkiej rozmowie, gdzieś około północy, przyznała się, że to ona ukradła papiery. Potem rzuciła się na tapczan i wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Leżąc na brzuchu, wiła się wśród poduszek. Szeredy ujął Teodorę pod brodę, przez chwilę przyglądał się strumieniom łez spływającym po jej policzkach, a następnie z całej siły uderzył ją w twarz, najpierw z lewej, potem z prawej. Aż mnie zatkało.

Teo zmieszała się. Przestała płakać i szeroko otwartymi oczyma spojrzała na Szeredyego.

– Przepraszam cię, Teo – powiedział cicho Dani. – Ale błagam cię na wszystkie świętości, nie płacz teraz i nie próbuj kłamać. Chwila ku temu nieodpowiednia.

Siedziałem w charakterze tajemniczego osobnika pod piecem, jak to ustaliliśmy. Bez słowa. Jak dotąd wszystko szło doskonale, ale





teraz nagle cała nasza trójka zaczęła grać role każde z innej sztuki. Szeredy nalał koniaku i wcisnął kieliszek również w rękę Teo.

– Skål – powiedział. – Cheerio. Wypijmy za twój strach.

Wypiliśmy.

– Powiedz mi tylko jedno – mówił Dani – po co zabrałaś te śmieci i gdzie je schowałaś?

– Przecież już mówiłam, że...

– Błagam cię na klęczkach – przerwał jej Dani spokojnym tonem towarzyskiej konwersacji – błagam cię na klęczkach, jedyne moje kochanie, abys przestała kłamać. Wiem dobrze, że byłem pierwszym mężczyzną w twoim życiu, wiem, że wróciłaś teraz do mnie, bo lekarze powiedzieli ci, że zostało ci dokładnie sześć miesięcy życia, gdyż na twoją tropikalną, jedyną w swoim rodzaju chorobę nie ma lekarstwa, wiem, że hrabia Ciano przez ciebie... no, ale wystarczy już tego. Nie mów tylko, że pracujesz dla angielskiego wywiadu. Bo oni nie pracowaliby z tobą. Może źle robisz, ale fakt jest faktem. Są bardzo konserwatywni, wiesz? Mają przyziemną wyobraźnię.

Nie mogłem się zorientować, w jakim kierunku zmierza Szeredy. On grał już zupełnie inną rolę, a ja ciągle tkwiłem pod piecem, anonimowy i tajemniczy. Teodora natomiast była do tego stopnia zdumiona, że całkowicie przestała się interesować sprawą, zapomniała o wszystkim i chyba zastanawiała się tylko nad tym, czy to możliwe, że ten skądinąd miły, głupkowaty oficer sztabowy, jej wierny fagas i ślepo posłuszny niewolnik, po prostu od lat ją zwodził i wcale nie był w niej taki zakochany, jak jej się wydawało i jak być powinno. To już nie były dla niej żarty i w jej nagle pobrzydłej od intensywnego myślenia twarzy czytało się niczym w książce, iż nękają ją niepokojące myśli. To małe, piękne i obdarzone ptasim mózdz-





kiem zwierzątko – pomyślałem sobie później – było raczej gotowe dać się niewinnie rozstrzelać, niż przyznać publicznie do tego, że nie potrafiła owinąć całkowicie wokół palca jednego ze swoich rycerzy. Chociaż, co prawda, to prawda, Szeredy był nawet całkiem nieźle owinięty wokół jej paluszków, tyle tylko, że Teo nie potrafiła wyczuć nastrojów i humorów swego wielbiciela.

Kto rozumiał humory Szeredyego, ten musiał uważać go za geniusza. W sztabie natomiast nie widziano w nim niczego nadzwyczajnego, był jednym z wielu ambitnych, pracowitych, uzdolnionych, wytrwałych, systematycznych i bardzo użytecznych oficerów. Miał pełne powody, powtarzam, aby podejrzewać Teodorę, ale szybkie śledztwo bynajmniej nie oznaczało zwycięstwa niezawodnego instynktu Szeredyego ani też nie było efektem jego logicznego rozumowania. Tej samej nocy bowiem, i to niewiele później, okazało się, że inna kobieta przyznała się do kradzieży dokumentów. Była nią mała służąca, która otworzyła mi drzwi.

Tego już było za wiele dla Szeredyego. Zatkąło go na chwilę. Zwracał się do dziewczyny per ty.

– Nawet nie wiesz, co było w tych papierach – powiedział bardzo głębokim głosem. – Nie wiesz chyba, co mówisz.

Dziewczyna stała przed nim śmiertelnie blada, jej wielkie oczy płonęły gorączkowo. Z wewnętrznym napięciem, jakby zdawała egzamin, od którego zależy jej życie, wyrecytowała dokładnie niczym wyuczoną na pamięć lekcję nazwy dokumentów wojskowych:

– Polecenia dla grupy wu-ka-ce, szczególne zadania związane z przygotowaniem operacji em łamane przez trzy i litery be o, dotyczące kierowania nią i... i... i przeprowadzenia...





Ze zdumieniem stwierdziłem, że po wysłuchaniu tych bzdur Szeredy pobladł. Pochylił się na krzesło do przodu, potem opadł do tyłu i nerwowo sięgnął po kieliszek. Ta mała służąca z Siedmiogrodu to była właśnie Magda, z którą Szeredy zszedł się teraz po trzynastu latach.

RĘKOPIS MEDVEGO

Nie mojej opinii był ciekaw Szeredy, kiedy schodziliśmy po tych lepiej utrzymanych schodach kąpieliska Lukács – ale własnej. Oczekiwał ode mnie spojrzenia z dystansu na koleje jego pokrętnego i pełnego chaosu życia, oczekiwał pomocy w tym sensie, żeby opierając się na mojej opinii, oprzytomnieć i realnie ocenić barwy, w jakich maluje się ta cała sytuacja.

Szeredy był jowialnym, łysiejącym grubasem, niebieskookim i misiowatym, nie było w nim nic z toreadora, z oficera huźarów czy z zakochanego poety. Interesował się muzyką i sztukami pięknymi, kilkoma dyscyplinami sportowymi oraz dobrym jeźdzeniem i wybornymi trunkami. Widać było po nim, że tych kilka namiętności wystarcza mu całkowicie do zachowania równowagi ducha, której nie są w stanie zburzyć nawet kobiety. Chociaż w rzeczywistości bardzo ją zakłócały. Dość poważnie traktował swoje zainteresowania i rozrywki, to znaczy: muzykę i sztuki plastyczne, ale tak naprawdę był zawsze zajęty czymś innym. Wiecznie miał kłopoty z kobietami.

Nie miałyby u nich nigdy powodzenia, gdyby nie włączył do rozgrywki, moim zdaniem nieprzepisowo, swego szczególnego seksapilu, naruszającego zasady fair play. Grał na uczciwość





i prostoduszność, którą potrafił zachować w każdej sytuacji. Po kilku tygodniach znajomości nie mogło to zostać niczym podważone, stawało się czymś absolutnie oczywistym, niczym tykanie zegarka, świergot ptaków, zapach dzikiego bzu czy też gwiazdy na niebie. Wiadomo było, że jest to człowiek szlachetny i wielkiego serca. I ciekawe, że wszystkie kobiety wpadały w tę pułapkę. I to nie tylko poczciwe, prowincjonalne brzydule, nadające się na doskonale towarzyszki życia kury domowe, ale też zepsute do szpiku kości urodzive stołeczne wampy, to znaczy te, z którymi Szeredy miał wieczne kłopoty.

Ten system – jak powiadam, naruszający nieco reguły gry – wymagał jednak dużego nakładu czasu, dlatego muszę w końcu stwierdzić, że Szeredy nie odniósł zbyt wielu sukcesów. W wieku czterdziestu pięciu lat doszedł do tego, że miał żonę, z którą żył szczęśliwie od sześciu lat, miał kochankę, z którą utrzymywał stosunki od lat dziewięciu, no i Magdę, z którą po trzynastoletniej, beznadziejnej, choć odwzajemnionej miłości akurat teraz się zszedł.

Zadumany schodziłem w dół po schodach w ślad za przyjacielem, zastanawiając się nad tym, co mam mu właściwie powiedzieć. Dawniej, kiedy spotykało nas jakieś nieszczęście, jakaś podłość, upokorzenie, wówczas właśnie Szeredy był tym, który potrafił znaleźć wyjście: snuł na ten temat opowieść. Bądź to po południu, w sali wykładowej, kiedy podoficer dyżurny wychodził na dziesięć minut, bądź też wieczorem, w latrynie, gdzie wszyscy się zbieraliśmy, Dani opowiadał całą historię na nowo, troszeczkę odgrywając to, co się wydarzyło. I najwycyżajniejszym relacjonowaniem, jak wschodni szaman lub afrykański czarownik zaklęciami i zabobonami, po prostu odczarowywał, unieszkodliwiał, odwracał całe zło, w naszych oczach unicestwiał jego jad,





zdejmował nam z duszy gniotący ciężar. A przecież Szeredy nigdy nie zgrywał się, nie parodiował, przeciwnie, w sposób bardzo dokładny i wierny odtwarzał swoimi słowami całą historię. Może właśnie to było jego tajemnicą, że potrafił opowiedzieć tak, jak było naprawdę.

Na pozór nic łatwiejszego. Dani Szeredy opowiadał, jak to się stało, i nagle znikał chaos, wszystko się zaczynało układać w logiczną całość, wszystkie sprawy otrzymywały należną im rangę i zawilości życia znów stawały się czymś jasnym i zrozumiałym. Gdybym więc teraz, tak jak on, potrafił opowiedzieć historię jego miłości z Magdą, może wówczas wyłoniłby się jakiś sens i rozwiązanie. Tylko że ja tego nie potrafię. Jeśli nawet zgodnie z ogólnym pojęciem uszereguję ważne fakty, to ułoży się całkiem fałszywy obraz zdarzenia sprzed trzynastu lat, kiedy to w Nagyvárdzie poznałem Magdę. A trzeba przyznać, że była to urocza służąca ta mała Szeklerka* o kruczych włosach, zarastających nisko czoło. Miała dość duży, pulchny nos, gęste brwi, przepiękne rzęsy, oczy o ślicznym wykroju, niebieskie, a jednak przypominające oczy sarny. Szeredy już od kilku tygodni ukrywał ją jako swoją służącą, bo w rzeczywistości była córką Żyda, fotografa z Braszowa, co już samo w sobie było dostatecznym powodem do deportacji. Ale ta historia z wykradzeniem dokumentów czy też atmosfera jak w powieści szpiegowskiej – co mogą sugerować gołe fakty – są całkowicie fałszywe i wprowadzające w błąd.

Nieprawdą jest również i to, że schodziłem zadumany po schodach kąpieliska Lukács. Nie jest to ani pełne, ani wierne

* Szeklerzy (węg. Székely) – grupa ludności węgierskiej zamieszkująca tereny w północno-wschodnim Siedmiogrodzie (Rumunia).





odbicie rzeczywistości. Na dobrą sprawę każde wypowiedziane przeze mnie słowo będzie niedokładne i fałszywe. Owszem, zastanawiałem się, ale to wcale nie było charakterystyczne dla owej chwili. Bardzo to trudno wytłumaczyć byle cywilowi. Cywile rzeczywiście potrafią schodzić po schodach zadumani. Ale my z Szerezym – nie. Bo nawet choćbyśmy nie wiem jak byli zatroskani, to w głębi duszy jesteśmy swobodni, cudownie oszołomieni wolnością. Nie zataczamy się jednak, nie uginają się nam kolana, bo ogrom wiedzy o życiu leży ciężarem na dnie naszego serca albo raczej na dnie żołądka, niczym balast w potężnych statkach dalekomorskich. I chociaż ta przesycona gończą znajomość świata osłabia pęd naszych żagli, to jednak daje nam poczucie stabilności.

Ale i to źle powiedziałem. Jakkolwiek efektywne wydawałoby się to porównanie z balastem leżącym pod pokładem okrętu, nie jest ono jednak dobre. Nie jestem też pewny, czy to, co ciągnie nas w dół, jest rzeczywiście takie ciężkie i gorzkie. Wiem tylko, że istnieje osad w głębi naszej egzystencji, może w drugiej lub trzeciej warstwie licząc od dołu, w tej ostatecznie uformowanej i niepodlegającej zmianom, od której nasze życie staje się już martwe. Niedobre jest więc pojęcie dotyczące osłabienia pędu, bo już tam wszystko jest niewzruszone i definitywnie zakończone. Jest to mocny i trwały fundament w człowieku, a nie jakaś smutna i martwa rzecz, więcej: w jakimś sensie właśnie ta część w nas żyje naprawdę, bo jest tym, co w czasie naszego istnienia stworzyliśmy, powołałiśmy do życia z materiału, jakim jest nasza egzystencja. Wszystko inne, owo drganie i kołysanie się pokładu, owe zewnętrzne warstwy, jak na przykład obecne nasze życie cywilne, są już lekkie i jest to tylko gra, resztką wielkich letnich wakacji.





Słowem, być może zatroskany, ale łagodnie oszołomiony wolnością schodziłem za Szeredym po schodach, które wybrałem. Odczuwałem głębokie zadowolenie z możliwości tego wyboru. Tego lata byłem akurat dwudziesty siódmy rok na wolności, to znaczy już od dość dawna, ale nie znudziłem się tym i nie stałem się zubożniałym, rozkoszowałem się nieustannie lekkim niepokojem, rozgorączkowaniem wypływającym z nieograniczonych możliwości wyboru, kiedy chodząc sobie swobodnie po ulicy, mogłem oglądać te czy inne wystawy, wsiąść do tramwaju, a jeśli mi przyjdzie ochota, zapalić papierosa, ewentualnie godzinami wybierać swobodnie wśród najrozmaitszych możliwości, gdy tymczasem zmierzch powoli spływa na miasto i zapalają się pierwsze lampy. Może pojęcie wolności nie jest tu właściwym wyrażeniem, albowiem idzie o coś więcej. O niezależność, swobodę. O wolność zmysłowego wchłaniania świata. Do tego nie wystarczy, aby po prostu nie figurować w ewidencji i nie być trzymanym w żadnego rodzaju niewoli, ale trzeba również zachować nietknięte najtajniejsze zakamarki naszej duszy. I nad tym właśnie dumiał teraz mój przyjaciel Szeredy.

Trzyście lat temu w Nagyvárdzie postąpił właściwie, czego nie omieszkałem mu powiedzieć.

– Wtedy dobrze zrobiłeś.

– Tak, ale dziś to zupełnie co innego – odparł.

Teraz ledwo się uśmiechaliśmy. Piwo było ciepłe, lecz mnie to nie przeszkadzało, Szeredyemu – tak, mimo to nie on, ale ja zauważyłem:

– Ciepłe to piwo.

– Hę? – Spojrzał na mnie.

– Mówię, że... Eh, czy ja wiem. – Wzruszyłem ramionami.

– Więc tak to jest. Tacy jesteśmy. Pieprzę!





Po krótkiej chwili odzywa się Szeredy w te słowa, tak to przynajmniej rozumiałem:

– Należałoby zapytać Gábora.

– Gábora?

– Medvego.

Znów ledwośmy się uśmiechali, ale teraz już inaczej. Gábora Medvego zawsze wymienialiśmy z nazwiska – Medve, i już. Dopiero w ostatnich latach zaczęliśmy, wzdragając się zresztą nieco, nazywać go Gáborem, aby dostosować się do jego przyjaciół w cywilu.

– Tacy jesteście? – Szeredy spojrzał na mnie ponownie. – A dlaczego mamy być tacy?

Nie odpowiedziałem, gdyż nagle coś mi się przypomniało.

– Przesłał mi pakiet szpargałów – rzekłem.

– Hę? To znaczy kto?

– Medve.

– Hę?

To „hę?” oznaczało tym razem: co, u czorta, czy stamtąd też przychodzi poczta? Stamtąd, to znaczy z zaświatów, bo Medve już nie żył.

– Mhm – potwierdziłem.

Przyszło mi na myśl, że w tym pakiecie może znajduje się odpowiedź na pytanie Daniego. Dostałem przesyłkę kilka tygodni temu, rękopis przewiązany tasiemką, na okładce napisane ołówkiem: „B.B. do rąk własnych, po mojej śmierci. Gdyby i on już nie żył, proszę spalić bez czytania”. Na pierwszej stronie u góry, nad tytułem, dopisek: „Proszę Cię, przeczytaj i jeśli uznasz – to ewentualnie po poprawkach...”. Resztę zdania przekreślił, przekreślił również to, co napisał pod spodem: „Drogi Bebe, te fragmenty, które uznasz (za prawdziwe –





przekreślone dwukrotnie) za dobre...”. W końcu to, co nie zostało przekreślone, zmieściło się już tylko na marginesie, napisane na skos: „Zrób z tym, mój stary, co zechcesz! Bóg z Tobą!”.

Cóż mogłem powiedzieć Szeredyemu? Że w gruncie rzeczy do niczego nie doszedł? Już poprzednio, tam na tarasie, przesunął mi się przed oczyma film z minionych kilkudziesięciu lat. Ów romans z Magdą zaczął się od tego, że w Braszowie wynajął Szeredy pokój w domu fotografa. Nie, nie tak było. W 1934 roku przeniesiono go na prowincję. Trzeba tu dodać, że wbrew pozorom Szeredy przez całe życie był niezwykle samotny. Z wyjątkiem, oczywiście... Słowem, zaczęło się to wtedy co i rękopis Medvego: jesienią 1923 roku. Tak. To był początek wszystkiego.

– Mhm – powiedziałem Szeredyemu. – Później.

Co miało znaczyć: później zobaczysz. Później przejrę, co napisał Medve. I później ci to dam. Później wszystko się jakoś ułoży.





Przekład: Tadeusz Olszański

Redaktor serii: Magdalena Matuszewska

Szkola na granicy

Korekta: Katarzyna Derdulska, Anna Sidorek

Posłowie

Korekta: Magdalena Matuszewska, Anna Sidorek

Projekt i logo serii: Sylwia Grządźka i Jacek Szewczyk

Opracowanie graficzne okładki i stron tytułowych: Jacek Szewczyk

Zdjęcie na I stronie okładki: © Bettmann/Corbis/FotoChannels

Zdjęcie autora na IV stronie: © Petőfi Literary Museum, Budapeszt.

Photo: László Dormán

Druk i oprawa: Abedik

Skład i łamanie: Rambler Press

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./fax (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-0965-3

